

**Miłosz  
Waligórski  
Pięć i pół  
kobiety**



# Gruba w pasie

(Konfabulacja)

*Najlepsze jest to, co jest możliwe.*

Miklós Mészöly

Ligniną zatkała dziurkę od klucza.

Po kąpielii odkorkowała wannę. Gumowy tub kąpielowy? Bynajmniej! – wymarzoną wannę w nowym mieszkaniu, wannę Majakowskiego, nazywaną tak tutaj wcale nie ze względu na schodki, tylko dlatego, że prowadziły do niej lata świetlne czekania na przydział; tak więc odkorkowała ją, tak jak odkorkowuje się butelkę szampana, lecz zamiast wpaść w euforię, doznała nagłego rozczarowania. Z drżącą brodą i ustami w podkowę obserwowała nieodwracalny odpływ. Woda, odsysana od spodu na zatrąte, przepadała w oczach i w rurach, charcząc i kaszląc, aż w końcu zniknęła, zostawiwszy na dnie kostkę mydła toaletowego For You i kilka opłakanych jeziorek, w których Stankiewicz siedziała teraz smutna i ziębla. Jej pierś rozdarł raptowny szloch, peryferie tłuszczu zafalowały jak Shakin' Stevens. Niby więc zrobiło się weselej, ale:

– Tak marzyłam o tej garsonierze – łkała – a teraz co? Siedzę w niej zupełnie sama. Jak palec.

I żeby poczuć coś innego niż gorycz, trochę zbyt mocno pociągnęła się za kciuk.

Zawyla z bólu.

Kość wyskoczyła ze stawu, a ona wyskoczyła z wanny. Zupełnie jakby to była elektryzująca (opinię publiczną) wanna Wassermanna, na którą Polska miała jeszcze czekać ponad dwadzieścia lat, a nie ciasna, ale własna wanna Majakowskiego.

Stankiewicz chciała więc wyjść z piany, a wyszła jak zwykle: kluska z resztki wody.

Drobiła w kółko po posadzce, chuchając w splecione dłonie, jakby to mogło jej pomóc. Złapała się za ucho, ucho od śledzia, nie oparzyła się wszakże – wręcz przeciwnie: marzła, bo kafelki były zimne, a ogrzewanie liche.

Solidny za to był rok, rok 1982. W blokach pachniało przemysłówką, a za oknami krzępły czasy wyborów dwuprymiotnikowych: jawnych i zawsze zwycięskich.

Od kilku miesięcy pracowała w reżymowym kiosku „Ruchu” na rubieżach dzielnicy. Całymi dniami, w ramach obowiązków służbowych, naciągała sobie na rękę rajstopy, aż po pachy. Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk dał bowiem prikaz wszystkim zatrudnionym w kolportażu, żeby sprawdzać, czy rajstopy nie puszczają oczek. Nie musiała już zatem dekować się za piątą kolumną w fabryce, pracę miała lekką i bezpieczną, i w ogóle, gdyby nie zatrważająco niska wypłata, o robocie mówiłaby „synekura”, a o sobie – „pieszczoszka losu”. Oczywiście gdyby znała takie słowa.

Polska stanu wojennego pozwalała jej więc czuć się dobrze, aczkolwiek Stankiewicz, jak na trzydziestosześcioletnią rozwódkę przystało, w głębi tuszy nie była szczęśliwa. Ale niech nas nie zmyli stan cywilny, ani to, że w absty-

nencji od wódki żyła już dwadzieścia lat, w jej przypadku najważniejszą rolę odgrywał inny stan – stan ciała.

Nieświadoma, że myśli o sobie, ilekroć wspomina eksmęża, ryżego chudzielca Filipa, tak długo powtarzała zdanie: „Człowiek jest potworem, trzeba tylko dać mu szansę”, aż wyszło na to, że człowiek jest otworem. Sobie jednak wielu szans już nie dawała, szczególnie po tym, gdy pewnego razu do okienka w kiosku podszedł księżę z bajki, pan górny i czupurny, a ona wstała i wyprostowała się, co jednak na niewiele się zdało, bo była zawołanym kurduplem. Nie pomogła nawet rażąca biel upranej proszkiem Ixi 70, świeżo wykrochmalonej bluzeczki.

Tyła z dnia na dzień i ponieważ bała się, że oszaleje, musiała szybko znaleźć sobie jakieś zajęcie. Do wyboru miała jeżdżenie pociągami albo czytanie. To pierwsze z racji pełnoetatowego zatrudnienia odpadało.

Zaczęła więc czytać.

Ale zanim zaczęła – po drodze do domu w barze pod chmurką jadła na stojaka obiad. Gołębie krążyły nad nią, od czasu do czasu okraszając jej zupę łyżeczką ptasiej śmietany. Za każdym razem przyjmowała to z jowialnym uśmiechem i pałaszowała dalej, aż odezwało się skrobanie sztućca po szorstkim dnie talerza. Przed wejściem do klatki schodowej podnosiła kamień i z łokcia rzucała nim w pustkę, w stronę intryg, wartkiej akcji i prawdziwej fabuły, będących rękojmą drukowalności tekstu. Później, sapiąc i prychając jak niewydolny poznawczo muł, wspinała się na ostatnie piętro, a po wejściu do swojej garsoniery z miejsca zabierała się za robienie herbaty po kawalersku. Niewykorzystany wrzątek natychmiast wylewała do zlewu, a wieko dzióbka stawiała na sztorc, żeby ze środka wyparowały ostatnie kropelki, bo miało być sucho

i nic nie miało gnić. Trzy razy potrząsała czajnikiem, dla pewności, gdyż trzy to magiczna liczba, a później, parząc sobie dłonie cienką szklanką bez koszyczka, przechodziła z herbatą do łazienki.

Tam na półce trzymała same błahostki, obcym słowem: bibeloty. Dym z papierosa pogrążał w samotności trzy stojące między nimi książki: Biblię, *Przewodnik grzyboznawczy* oraz *Pięć i pół kobiety*. Stankiewicz dosłownie rozlewała się po wannie, w tłustych wargach obracała papierosa, który sterczał znad wody jak peryskop, i cała nurzała się w lekturze.

*Przewodnik grzyboznawczy* jej się przejadł.

Biblii nie tykała, bo widziała już film.

Tym razem jej ręka sięgnęła po *Pięć i pół kobiety*.

Na stronie 5, oczywiście jak najbardziej przypadkowo, natrafiła na opowiadanie

*Gruba w pasie*.

Tytuł przykuł jej uwagę obietnicą współuczestnictwa.

Od tekstu otrzymała jednak o wiele więcej.

Główna bohaterka, jakiś straszny kaszalot z prowincji, budziła nie tylko litość.

Grzeszyła nieprzyzwoitą tuszą, fakt, ale miała w sobie coś jeszcze.

Tym czymś było coś, czego nie miała.

Czegoś jej brakowało. Była nedorobiona. Migotliwa.

Znikliwa. Eteryczna. Pasmowa

niby obraz z przeplotem,

drgający neon, który nie może się zdecydować.

Niedowcielona. Jak pół stopy w półbucie

w pół drogi donikąd.

W zasadzie nie „była”, ale „wydawała się”.

Nikomu nie groziła, chyba że nieistnieniem.

I to pewnie dzięki niej pod warstwami smalcu  
w Stankiewicz nareszcie odezwały się kości  
i zaszumiła prawdziwa krew.

Czy aby nie miała na imię Ludmiła?